

Fragmenty z książki „ŻYCIE PRZEZ KALKĘ”, Joanny Osajdy.

Religia X

Pewnej nocy Jan Papuga, Franciszek Gil i szczeciński dziennikarz Tadeusz Sokół wracali przez miasto z jakiejś imprezy. Jak zwykle dyskutowali zażarcie. Każdy miał inne zdanie. Każdy głośno wykrzykiwał swoje racje. Doszło do kłótni. W tym momencie jak spod ziemi wyrósł przed nimi stróż porządku publicznego.

– Panowie zakłócają ciszę nocną. Poproszę o dokumenty.

Dokumenty? Czegoś takiego panowie przy sobie nie mieli. Poruszyło to pana dzielnicowego, ale zachowując jeszcze zimną krew zapytał:

– Nazwiska!

– Papuga.

– Gil.

– Sokół.

Tu już nie wytrzymał. Zbladł ze złości i krzyknął:

— Co! Kpiny sobie z władzy ludowej urządzać? Takie z was ptaszki? Posiedzicie w klatce, to wam przejdzie.

I niefortunni dyskutanci powędrowali do aresztu.

Przesiedzieli do rana. Dopiero zaczęło się wydzwanianie, szukanie znajomych, ściąganie dokumentów. Jakież było zdziwienie milicjanta, kiedy okazało się, że zatrzymani rzeczywiście mają ptasie nazwiska: Papuga, Gil i Sokół.

Nocne spacery i dyskusje Franciszka Gila i Jana Papugi były znane w Szczecinie. Tak do siebie niepodobni, doskonale się

98

uzupełniali. Chodzenie po ulicach było ulubionym zajęciem Gila.

— Wyrastał przy tobie nagle, niespodziewanie, w najbardziej nieoczekiwanych miejscach — wspomina plastik szczeciński Henryk Boehlke — zawsze z tym swoim sardonicznym uśmiechem.

Z czego żył?

Przez krótki czas pracował w „Głosie Szczecińskim”, został jednak zwolniony za brak dyscypliny pracy. Nie przestrzegał godzin — od do — które według regulaminu powinien spędzać za biurkiem. Kłóciło to się całkowicie z jego koncepcją pracy twórczej. Zgodnie z jego wizją i doświadczeniem, człowiek pióra — dziennikarz, reporter — powinien być wszędzie, tylko nie za biurkiem. Zurzędniczenie prasy — tego nie mógł pojąć. Równie krótko pracował w Teatrze Polskim jako kierownik literacki. Na tym zakończyły się jego próby stabilizacji. Pozostawały honoraria autorskie, niekiedy stypendia ze

Związku Literatów Polskich.

Znajomi patrząc na jego biedę, podsuwali mu niejednokrotnie propozycje stałej pracy. Były to jednak najczęściej oferty upokarzające jego — dążącego do sztuki. Posada pomocnika bibliotekarza z wynagrodzeniem miesięcznym nie większym niż honorarium za dwa większe artykuły. Posada maszynisty-maszynistki, korektora. Gil zgadzał się grzecznie na te propozycje, a potem znikał.

„Miał też z góry przygotowaną odpowiedź, przemyślaną filozofię pracy twórczej. Mówił wtedy jasno i wyraźnie, że boi się biurka, wszelkich rygorów, hierarchii — był więc z własnego wyboru męczennikiem anarchistycznej wolności, pragnącym za wszelką cenę zachować swoją niezależność” (Feliks Fornalczyk *Znaki tycia*).

99

– Pamiętam go z czasu, kiedy pracował w Teatrze Polskim — mówi jego pasierb Teodor Kraszewski. — Był wtedy pogodny, wesoły, sypał dowcipami. Nic nie zapowiadało późniejszego załamania.

Załamanie przyszło w roku 1948. Franciszek Gil jest jeszcze bardzo aktywny. Pracuje, pisze, współdziała z filmowcami przy realizacji filmu według jego scenariusza. Film ten zdobył później główną nagrodę na festiwalu w Czechosłowacji, właśnie za scenariusz. Przyjeżdża do Łodzi na spotkanie z reżyserem i ekipą filmową. Próbuje spotkać się z Lilą, która studiuje tu

reżyserię. Ze spotkania nic jednak nie wychodzi. Pisze potem w liście:

„Lila! Bachorze miedziany!

16 dni (16 dób) byłem w Łodzi i nie znany mi bliżej rodzaj tymczasowego otępienia nie pozwolił mi zbliżyć się do Ciebie. Po przybiciu na Twoich drzwiach listu pluskiewką (7 V) i nieotrzymaniu odpowiedzi, znaku życia, złości, zerwania stałem się zanadto przewrażliwiony: zamiast podejrzewać rzeczy najmniejsze (wyjazd, podarcie listu przez dzieci, zazdrosnego rywala, wymiecenie przez stróża itp.), począłem wietrzyć największą: skłonność do zerwania, jakby to powiedzieć, choć między nas dosyć ciężko wjechać z tą kolubryną towarzysko-miłosnego słownictwa. I oto skutki nadwrażliwości: od 21/V do 5/VI znów byłem w Łodzi i nie widzieliśmy się, choć może i lepiej, bo byłem przemęczony, rozhisteryzowany, potem rozchorowałem się, by wyzdrowieć nagle w drodze do Szczecina”.

W tym samym liście Franciszek umawia się z Lilą na wakacje. Miał to być od dawna planowany wypad w trójkę: z Lilą i Jankiem Papugą na wyspę Wolin. Nadchodzi lato. Lila czeka na wiadomość, ta nie nadchodzi. Dopiero później dogania ją kartka wysłana 9 VII z Krakowa:

100

„Lila!

Jestem jeszcze w Krakowie — wyjechaliśmy dopiero w niedzielę rano, rozchorowałem się i wysiadłem po południu na pl. Ducha — od tygodnia już więc lecę się: okazuje się, że to wszystko raczej nerwy i że przede wszystkim mam jadać brom. Gdybyś ty wiedziała, co się ze mną tu w Krakowie działo — rozsypałem się jak próchno — teraz już lepiej”.

Na tym korespondencja się urywa. Lila mu nic odpowiedziała, on się więcej nie odezwał. To rozsypanie trwało dłużej. Dopiero po dwóch latach Gil znów się odezwie do Lili. Napisze wówczas:

„Czy ty masz choć najmniejsze pojęcie, co za makabra działa się ze mną potem przez lato 1948 w Krakowie, Rzeszowie, Łodzi, Poznaniu i Warszawie? Całe rejestry klinik neurologicznych, psychiatrów i sanatoriów dla nerwowo chorych zapełniłem. Aż do wiosny 49. Potem rok rekonwalescencji — raczkowania w życie z powrotem. Pisz jak najszybciej o sobie. Albo przyjeżdżaj. Ty już porobiłaś całe wielkie kariery...”

– Mam trochę wyrzutów sumienia, że nie odpowiadałam mu wtedy na listy — mówi pani Julia — ale takie jest życie. Przy takiej odległości... Czasami tylko znajomi przywozili mi wieści o nim ze Szczecina: że jest znerwicowany, że ma nawroty choroby. W czasach krakowskich, kiedy go znałam, był pogodny, miał poczucie humoru delikatnego i surrealistycznego, które bardzo lubiłam. W ogóle cechowała go ogromna delikatność i kultura bycia.

Znajomi ze Szczecina pamiętają go jako swego rodzaju ascetę, żyjącego najskromniej jak tylko można. Człowieka, który żył sprawami ducha, nie przywiązując wagi do spraw przyziemnych. Potrafił godzinami prowadzić swego przygodnego słuchacza ulicami miasta i opowiadać, opowiadać... nie czując głodu ani zimna, nic.

101

„Wiadomo było — pisze Feliks Fornalczyk — że Franciszek Gil nigdzie nie pracuje, że obywa się byle czym, tym co kapnęło z jakiegoś rzadko się trafiającego honorarium, stypendium Związku Literatów, byle starczyło na mleko i chleb. Innych potrzeb chyba nie okazał nigdy — nie pił, nie palił”.

Skutki choroby i jej kuracji trwają długo. Powracają stany lękowe. Gil często wyjeżdża do sanatoriów. Po latach sam daje opis swej choroby w przejmującym dokumencie, pisanym około roku 1953:

„Śmierć artysty”

„Kiedyż artysta przestanie u nas krępować się swej małości, swej ludzkości — i będzie mógł przyznać się do swych małych braków — i pożywać z ludem chleb — jego dnia, jego mięśni jak — człowiek? Kiedy on — wyprzedzający, nie zrozumiany — zabity często za to przez własne społeczeństwo — przestanie karmić to własne społeczeństwo swą przedwczesną — im winną

śmiercią?

Sztuka nie jest u nas rzeczą codzienną i latami nikt go nie zapytał, z czego żyje — (społeczeństwo, które nie umie stworzyć instytucji życia dla artystów) — sprzedawał flaszki, gdy redakcje sławiły go, szanowały — (gnietli go pijacy — pijanego).

Nikt (z dawnych przyjaciół i bliskich) go nie chciał — i poszedł na elektrowstrząsy. Czym są elektrowstrząsy na owe czasy — magią szeptaną, objawioną przez wtajemniczonych jako nowość, która miała wyzwolić ludzkość znów tam od czegoś, magią pojawiającą się co pewien czas — I poszedł tam, co mając go leczyć, jeszcze ostateczniej przypieczętować miało jego chorobę — zgubiła go protekcja — Dom.

Żaden z tych ludzi, co opracowywali całe dzieła o człowieku,

102

spędzali całe życie na roztrząsaniu sprawy człowieka — nie miał dla niego chwili czasu — nie miał dla niego piętnastu minut.

Społeczeństwo, to samo społeczeństwo, które tyle razy sądziło go wariatem, wykazywało mu i wyrzucało, jak ma żyć — to samo społeczeństwo — które kiedyś nie miało dla niego chwili czasu serdecznej — miało dużo czasu — lata całe dalej wypełniało blankiety — zapraszało go do współpracy, pisało, pisało, pukało, tęskniło za nim — na to miało czas, czyli było bez pamięci, żyło bez głowy, on zaś miał pamięć, czyli ono zachowywało się jak wariat (wariackie odruchy społeczeństwa — nie powiązane — niecelowe—) i zrozumiał — jak łatwo nim — nimi — rządzić — i że polityk to człowiek, który chce pamiętać, chcąc pamiętać

zaś — umie wysnuwać wnioski.

I pojął — pojmując także, że on sam milion razy na temat człowieka, a teraz ginął i nikt — pojąć, że i on jest jednym z tego zawodu — że cały zawód robi i z niego takiego człowieka — który pracując nad dziełem nie będzie mieć piętnastu minut dla ginącego, względnie uzupełni tym i zaokrągeli, uzupełni, pogłębi tylko jeszcze bardziej faktem dzieło — —

I oto on teraz nie chciał pracować, nie chciał oddawać swoich sił społeczeństwu, które go zabiło (które zabija psychicznie chorych) — Było to naiwne, bardzo naiwne: on wszystko: kobiety, jedzenie, pieniądze — wszystko — spożywać mógł tylko przez mózg — zdobywać tylko wdziękami — mózgu — a myśl była porażona, a mózg był porażony — Trzeba było wpierw lęk odsupłać bezsenny firmament nieba schwytyany przez lasy — rzeka stanęła jak blacha cynkowa —

I oto były twarze — od których spodziewał się w życiu — twarze ludzi, którzy kiedyś, które kiedyś były dla nas żywe i pogasły w innych małżeństwach, związkach, twarze z albumu,

103

twarze już martwe, twarze, których już nic nie zdołałoby nam ożywić — twarze edypowskie, obłąkane.

Czy znacie smutek boisk sportowych dni powszednich — drzewa — równe parkany — pustkę po wrzawie — grach — zapasach — ową nieobecność

meczów, publiczności, sędziów, orkiestry, przedstawień?

Mądrość choroby.

Diagnozy „zdechł pies” — ci wszyscy ludzie, co mówili — to jest Gil — ci ludzie od pompy, z nim łączyło się uroczyste doznania, pompa, pretensjonalność, wyższość nad światem, nie mogli mu pomóc — komuś małemu, komuś słabemu, potrzebującemu szklanki wody, nie intymność uczuciowa — nie była więc to przyjaźń

Szukali w nim współnika na swoje psie życie, chcieli cieszyć się, że on właśnie uświetni ich upadek — ich, którzy mogli być tylko niczym — tylko knajpiarzami. (...)

Ludzie ci (co posłali go na elektrowstrząsy) nie mogli wykrzesać z siebie przyjaźni, ponieważ nigdy nie byli niczymi przyjaciółmi w życiu, mogli mu tylko dać skierowanie, mogli go tylko posłać ze skierowaniami — do instytucji płatnych zawodowych, na masowo.

Epoka skierowań wśród durniów.

Czy był chory — Myśl jego była chora — Dlaczego poniża się, gardzi człowiekiem, którego myśl choruje — dlaczego on ma być wstrętny, śmieszny, dlaczego jego kopie się, poniża, najbardziej broczącego?

Miasto było młode — miasto było bez głowy (obiektywizacja stanów) — stan, w który wyzwala lekarz — musi natrafiać na pomoc — na stan aktywny życia — psychiatra jest nadzieją — (jak religia) — to religia X”.

* * *

Sokrates odchodzi

Czy on jest szalony? W podszytym wiatrem płaszczu na taki mróz? W dziurawym berecie? Kim jesteś, nocny wędrowcze? Jestem pisarzem, pisarzem.

Pisarz to nie znaczy nic. To patrzeć na rzekę i widzieć.

Dostrzegać potok czasu, chociaż obraz się nie zmienia. Nieuchronność krajobrazu. Pisarz to słyszeć, chociaż wokół stoi cisza. Iść naprzód w powodzi zdarzeń. Nie widzieć, nie słyszeć nic.

Dokąd biegniesz w środku nocy? Te bruki dobrze znają twój długi krok. Setki, tysiące niepotrzebnych kilometrów. Niepotrzebnych nikomu zdarzeń. Setki, tysiące zapisanych karteluszków. Jakie prawdy tam wypisujesz? Chcę cię zrozumieć, ogarnąć. Lecz ty biegniesz. Giniesz z każdym krokiem. Gdybyś choć na chwilę się zatrzymał. Gdybyś zdjął z twarzy maskę szydery.

„Był dziwakiem. Teraz zaś był jeszcze smutny. Nikt mu nie przeszkadzał jeździć i pisać. A trzymał się miasta, w którym nie widział dla siebie miejsca. Co jeszcze mógłby tu robić? (...) Miasto, które chrzcilo ulice

imionami królów i nazwiskami bohaterów narodowych i dawało przytułek ludziom zmieniającym nazwiska, zostawiającym przed jego bramami swą przeszłość, miasto techników i wróżbitów, dźwigów i ołtarzy, marynarzy wszystkich części świata i duchownych przeróżnych kościołów, owo pomieszanie radaru z koniem, wielkiego świata i malutkiej prowincji — minęło, odeszło” (*Sto złotych*).

To miasto nie dało mu nic — poza pięknem swoich pejzaży. Niezwykłością urody przywiązało go na stałe. A miało być tylko bazą wypadową do dalszych wędrówek. Poprzez ruchliwość portu i ruchliwość ludzi miało być zaczynem ciągłych poszukiwań. Tymczasem on — niespokojny reporter o cygańskiej duszy — osiadł tu i nie miał sił ruszyć dalej.

„Nie mając nigdy dość przekonania i straciwszy w końcu odwagę, by wyjechać na stałe, ruszał gdzie bądź na kilka dni. Ale wtedy nieoczekiwanie szybko się nużył. Tęsknił za ciszą

150

i spokojem, które dawała rozległość wód, parków i bulwarów Szczecina. Brak mu było nade wszystko widoków, otwierających się na wieże i dźwigi miasta — przed pociągami od prawobrzeżnego Dąbia, ogromnego widoku z Wałów Chrobrego, w którym w statkach różnych narodów przesuwał się kawał świata. Tylu ludzi o nie znanym mu, w nieustającej wędrówce będącym życiu!” (*Sto złotych*).

Widoki — to wszystko, co mu zostało z miasta wielkich nadziei. Nie było powieści, które miały się tu narodzić. Nie było dzieła. Tylko żmudne przesiewanie czasu, rozmienianie go na kroki i słowa.

„Czyż nie czuł po wielekroć na portowym brzegu, że stoi jak worek, który napełnić i uprostować mogą tylko cudze przygody, cudze dzieje przy tych nabrzeżach? Chłopiec bez nazwiska, a z przygodami przywracał mu świat, który wygasł w jego duszy, zamieniał się w reportaż” (*Sto złotych*).

Miasto umierało w nim powoli, a wraz z nim jego reportaże. Nie było życia, nowych przygód, zjawisk, doznań. Nie było reportaży. Umęczony walką o przetrwanie, jałowością dni — szczeciński Sokrates odchodził. Był to proces może niewidoczny, ale nieubłagany.

Jego najbliższy przyjaciel Jan Papuga do końca swoich dni był przekonany, że to miasto zabiło Gila. Bezdušnością urzędników, obojętnością, milczącą zgodą na to, co się stawało. Ta myśl nie dawała mu spokoju. Powtarzał:

— Literatura jest wymierzaniem sprawiedliwości widzialnemu światu. Muszę napisać powieść o tym, jak miasto zamordowało swojego świętego — swojego poetę i pisarza.

Czy miasto może zabijać? Jan Papuga miał swoją wizję, którą dzielił się z przyjaciółmi w czasie rozmów i dyskusji. Jedną z takich rozmów zanotował Jerzy

Pachlowski w *Oswajaniu krajobrazu*:

„Spotkałem go wczesną wiosną, trochę więcej niż na rok przed śmiercią. Był zmarznięty, aż prawie siny. Od jakiegoś czasu mieszkał na strychu solidnej kamienicy, na strychu w komórce, którą sam sobie przysposobił na mieszkanie i pracownię. Administracja Domów Mieszkalnych zezwoliła na jej zamieszkanie, ale rzekomo ze względów bezpieczeństwa nie zezwoliła na zainstalowanie żadnego ogrzewania. Jan mówił: Jeszcze jedna taka luta zima to chyba już jej nie przeżyję... Jeśli ja nie zdążę, to ty ją napiszesz. Musi powstać powieść o morderstwie dokonanym przez miasto na swoim pisarzu — proroku prawdy... Jeśli jej nie zdążysz i ty napisać, nie martw się, być może napisze ją dopiero ten, który się urodzi. A może właśnie teraz, kiedy tak stoimy pod Bramą Królewską i rozmawiamy, rodzi się w tej chwili pisarz, który napisze taką książkę. Wcześniej czy później będzie to sprawa dokonana. Rozumiesz, tak to widzę.

Za popełnioną zbrodnię na świętym — pisarzu — klątwa spada na całe miasto. Prawie wszyscy mieszkańcy zamieniają się z ludzi w nie ludzi. Człękokształtni nie ludzie z duszami gadów, płazów, kameleonów. Niewierni i mało wierni, umiejący się przystosować, byleby przetrwać, albo każdą ceną zapewnić sobie udział przy żłobie. Na odległość wyniuchają takiego, który usiłuje pozostać wierny samemu sobie, swojej prawdzie, swojemu rozumieniu świata do końca. Pomogą go zatłuc, jak zatłukli swoje sumienie. Będą płodzili dzieci w większości także bez sumienia. Tak samo jak oni z

duszyckami gadów, płazów i kameleonów. Popatrz, ilu ich jest. Mnożą się i plenią z każdym rokiem. Z każdym miesiącem i tygodniem coraz ich więcej. Będą ciągnęli gościńcem własnej wygody, nie ścieżką własnej prawdy, własnego sumienia. Tacy człekokształtni nieludzie niczego sensownego nie potrafią zbudować. Wszystkie zamierzenia

150

przedsiębrane z osobna i razem będą się rozpadać i rozsypywać. Kto ostatecznie zwycięży... Do kogo będzie należał świat... do orłów czy kameleonów, będą sobie zadawali po cichu pytanie nieliczni wierni sumieniu.

Tak będzie w tym mieście dopóty, dopóki pośród gadów i płazów nie urodzi się wielki poeta i prorok prawdy. Już nie nieludź, nie kameleon, a człowiek. On swoją twórczością, swoim cierpieniem odkupi grzechy winowajców. Pośród nieludzi zacznie przybywać coraz więcej ludzi. Znowu stanie się powszechnie potrzebna prawda i prawość...”